

# Ogród Saski





BOLESŁAW PRUS

## Ogród Saski

Mylisz się, kochany przyjacielu, jeżeli sądzisz, że zawsze samotny stąpałem po żwirze, który w tej chwili tysiące nóg depta. Patrz, teraz na przykład, w jak pięknym znajduję się kółku rodzinnym! ...

Ta szanowna, aczkolwiek przysadzista matrona, w jedwabnej sukni, z tak tklwym zaufaniem opierająca się na moim ramieniu, to pani X., właścicielka nieco zadłużonych dóbr ziemskich.

Ten wysmukły, co chwila rumieniący się anioł w aksamitnej garybaldce<sup>1</sup>, to panna Zofia, córka poprzedzającej; ma 18 lat, 6, 000 rubli posagu i wyobraża sobie, że w Saskim Ogrodzie wszyscy tylko na nią patrzeć i z niej wyśmiewać się będą.

Ten rozkoszny 6-cioletni chłopaczek w niebieskiej sukience, przewiązanej pod ramionami lakierowanym paskiem, miłe bobo w kaszkieciku z aksamitnym guzem i jedwabnym fontaziem<sup>2</sup>, to mały Franio, syn starszej, a brat młodszej mojej towarzyszki.

Ten na koniec 20-letni płowowłosy wyrostek, wiecznie przestraszony i wiecznie wszystkim ustępujący z drogi, to kuzyn opisanej familii. Był jakiś czas w szkołach, obecnie bawi<sup>3</sup> przy ciotki jako praktykant gospodarski i pełni obowiązki tymczasowego wielbiciela panny Zofii. Nosi aksamitną żokiejkę, jasnooliwkowe ineksprymable<sup>4</sup>, popielaty żakiet i ciemnozielone rękawiczki, które zdają się stanowić dla niego przedmiot najwyższej chwały nie wyłączającej jednak zakłopotania.

Cała nasza grupa, razem z Bibi (kieszonkową suczką, której głowa przypomina duży kłębek bawełny), otóż cała grupa ceremonialnym krokiem posuwa się ku Saskiemu Ogrodowi. Podróż nasza trwa już około trzech kwadransów, ale ani na chwilę nie tracimy dobrego humoru; w drodze parę razy kiwaliśmy na dorożkarzy, ale grubianie ci, zobaczywszy tak liczną rodzinę, umykali co im sił starczyło. Brniemy więc dalej, bawiąc się rozmową o ogrodzie, który od kilku dni spędza sen z figlarnych oczek panny Zofii.

— Ach, Boże! Boże! ... wzdycha mama. — Włeczmy się, jak dziady na odpust... Ty pewnie żenujesz się iść z nami, panie Bolesławie, bo to my parafianki...

— O pani! Wszakże i ja jestem parafianinem...

— To prawda, żeś ty Wołyniak, poczciwy... Wy wszędzie tacy: serce złote, jak nie wymawiając u ciebie, a w głowie fiu i fiu! ... jak u naszego kochanego Władzia na ten przykład...

Kochany Władzio wyszczerzył białe zęby w kierunku swoich zielonych rękawiczek, a po raz setny zarumieniona panna Zofia wtrąciła:

— Ciekawam bardzo, jak też wygląda ten wasz sad Saski, czy tam warszawski? ...

— Musi być okrągły! ... — domyślił się 20-letni Władzio, przechodząc z prawej strony na lewą.

— Przeciwnie, kochany panie Władysławie — odparłem — jest czworoboczny, a jeżeli pana interesują szczegóły topograficzne, to dodam, że ma od wschodu Saski Plac, od zachodu targ za Żelazną Bramą, od południa ulicę Królewską, a od północy całą gromadę domów...

Słuchacz mój widocznie zrozumiał objaśnienie, ponieważ przeszedł z lewej strony na prawą.

<sup>1</sup>*garybaldka* — czerwona koszula, naśladująca ubiór żołnierzy Garibaldiiego. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*fontaż* — kokarda zastępująca krawat. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*bawić* (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*ineksprymable* (daw., żart.) — kalesony. [przypis edytorski]

— A wrotaż są jakie? ... — spytała znowu panna Zofia tym rozkosznym głosikiem, któremu wybacza się nawet nonsensy.

— O, są pani!... całe z żelaznych krat...

— Ooo... oo! — zdziwiło się towarzystwo.

— Bram tych jest aż sześć...

— A... ooo! ... — był nowy wybuch zdziwienia.

— Jedna — ciągnąłem — wychodzi na Saski Plac, druga na kościół Ewangelicki, trzecia na Marszałkowską, czwarta na targ, piąta na ulicę Żabią, a szósta na Niecałą...

— Mamo... Mamo! ... — zawołał nagle spotniały Franio — a przez płot czy będziemy przelazić?

— Franiu, bądź grzeczny! — zgromiła go siostra. — Niechże nam pan powie, cóż tam więcej jest? ...

— Uważa łaskawa pani, są naprzód cztery kąty...

— I chi! chi!... jaki ty zbytny<sup>5</sup>, panie Bolesławie — ucieszyła się mama.

— Cztery kąty bardzo interesujące, ponieważ w północno-wschodnim znajduje się strzelnica...

— Jezus! Maria! — zaoponowały damy.

— O, to sobie strzelę z parę razy! ... — wykrzyknął Władzio i poszedł na lewo.

— Strzelnica jednak nie funkcjonuje już od kilku tygodni...

— Coś się zepsuło... — zauważył Władzio już z prawej strony.

— W kącie południowo-wschodnim jest cukiernia...

— Aj... na lody, mamó, na lody!... — przerwała mi panna.

— Zajdziem! ... Zajdziem!...

— W kącie południowo-zachodnim jest zakład kumysowy<sup>6</sup>, wody mineralne i mleczarnia...

— Chryste Panie!... — zdziwiła się mama. — W takim sadzie mleczarnia? ... A zsiadłego mleka dostanie? ...

— O, dostanie!...

— Zajdziemże i tam...

— W kącie północno-zachodnim jest plac dla dzieci...

— Boże ty mój! ... — wykrzyknęła matrona. — A cóż ony tam robią?

— Bawią się z niańkami...

— Robaczki wy moje serdeczne! ... Ach, bodaj ciebie, panie Bolesławie, że ty wiesz tak wszystko...

W czasie tych wydziwian minęliśmy Saski Plac, przeszli ulicę, na której mało nas nie rozjechano, i zbliżyliśmy się do głównego wejścia. Zauważyłem, że twarz panny Zofii robi się purpurowa, i że w duszy jej tymczasowego adoratora powstają niejakie wątpliwości co do popielatego żakietu, ciemnozielonych rękawiczek i jasnooliwkowych uzupełnień.

— Nie można, nie można!... — odezwał się w tej chwili dozorca do jakiegoś bardzo podszarzanego jegomości.

— Za co on jego nie wpuszcza? ... — szepnęła mi do ucha strwożona mama.

— Bo jest źle ubrany — uspokoiłem ją.

— A nas-że? ...

Nie dokończyła frazesu, ponieważ z kolei zwrócono się i do nas.

— Państwo będą łaskawi wziąć pieska na sznurek...

— Bibi na sznurek? ... Bibi? ... — wykrzyknęła panna Zofia,

— No, jeżeli on się tak nazywa, to Bibi...

— Cóż to będzie, panie Bolesławie, kiedy my nie mamy sznurka? To chyba ty, Władziu, musisz biedną Bibi odnieść do domu.

— A może by ją można na szpagat? ... — spytał surowego dozorca oszołomiony Władzio, po raz pierwszy zapominając o kolorze swoich rękawiczek.

— Można... można!...

W odpowiedzi na to przyzwolenie, płowowłosa nasz przyjaciel wykonał kilka ruchów w okolicach swej żakietki, a za chwilę ładna Bibi, kaszląc i opierając się, asystowała nam

<sup>5</sup>zbytny (daw.) — skłonny do żartów. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>kumys — napój ze sfermentowanego mleka. [przypis edytorski]

przywiązana do krótkiego szpagatu. Czas był wielki, bo już i ludzie poczęli się na nas oglądać.

— Woda!... woda!... Leje!... leje!... — wrzeszczał uradowany Franio, patrząc na rzewnie płaczącą fontannę.

— Franiu, bądź grzeczny! — upominała go siostra. — To pewno wodotrysk, panie Bolesławie? ... Ach, jaki piękny!...

Milczałem, nie tyle myśląc o wodotrysku, ile o szeroko otwartej gębie 20-letniego Władzia w aksamitnej żokiejce<sup>7</sup>. Ludzie znowu gapią się na nas, panna Zofia znowu się rumieni... ja sam czuję pewne zakłopotanie... Szczęściem Bibi wydziera się z rąk swojego pogrążonego w kontemplacji przeciwnika...

— Łapaj, Władziu! ... — woła mama.

— Trzymaj, Władziu!... — powtarza panna.

Rozpoczyna się gonitwa, podczas której Bibi spod nóg jakiegoś dziecka wpada na ogon<sup>8</sup> jakiejś damy, zaplątuje się sznurkiem o pałasz wojskowego, a w końcu dostawszy kijem od podeszłego jegomości, podkula ogon i z rezygnacją poddaje się ubezwłasnowolnieniu. Uważam, że spacerujące grupy poczynają serio zajmować się wypadkiem Bibi, garybaldką panny Zofii i żokiejką pana Władysława — co wszystko, razem wzięte, nie dodaje mi bynajmniej otuchy.

— Mamo, chodźmy dalej!... — prosi wysmukła Zosia.

— Idźmy — odpowiada mama — ale nie środkiem. Tu same elegantki spacerują, i spaliłabym się ze wstydu, gdyby na nas tak dłużej patrzali.

Odchodzimy w aleję na prawo i znajdujemy wolną ławkę. Około strzelnicy jakaś dziewczynka bawi się toczeniem obręczy, druga skakaniem przez sznurek, trzecia podbijaniem ogromnej piłki, a kilku chłopców bieganiami i wrzaskiem.

Jeden z nich, w ubiorze marynarskim, zbliża się do nas i pyta z ukłonem:

— Proszę pana, która też godzina?

— Trzy kwadranse na trzecią.

— Ach, jaki grzeczny chłopczek! — szepce mama.

Marynarz zauważył Frania; chwileczkę popatrzeni sobie obaj w oczy, wreszcie przybyły, zwracając się z powtórny ukłonem do mamy, rzekł:

— Niech pani będzie łaskawa temu małemu pozwolić bawić się z nami.

— Owszem!... owszem!... Idź, Franiu, bawić się z tymi grzecznymi chłopczykami — odparła mama. — Ach, jakież cudowne dzieci są w tej Warszawie!

W oka mgnieniu zmieszanego Frania otoczyła gromadka dzieci, i rozpoczęło się śledztwo:

— Kawaler umiesz się bawić?

— W co kawaler umiesz się bawić?

— To jakiś mazgaj! ...

— A skąd kawaler? ...

My z mamą i z Zosią i z Władziem, jesteśmy aż z K.....

— Panowie!... Bawmy się w jenerała — zaproponował marynarz. — Wy będziecie żołnierzami, ja jenerałem, a ten mały koniem...

— Dobrze... dobrze...hura!...

Za chwilę mały Franio, trzymając sznurek w zębach, podcięty parę razy batem, cwałował pomiędzy drzewami. Jenerałowie i żołnierze zmieniali się co kilkanaście sekund, ale przybysz z K... ciągle był koniem i w charakterze tym dopóty galopował, aż zmęczony i wyćwiczony pejczem, upadł na ziemię, zanosząc się od płaczu. Towarzysze jego rozpierzchli się, jak wróble.

— Ach, nicponie te warszawskie dzieci!... Ach, urwisy!... — woła przestraszona mama, uspakajając, trzępiąc i obcierając Frania. Wreszcie kiedy przeszło i to zmartwienie, ruszyliśmy wpoprzek alei głównej ku mleczarni.

— Chryste Panie... jakie ogony te damy noszą! ... jaki tu kurz! ... Taż odsapnąć nie można... zupełnie jakby kto stado owiec przepędził!... — lamentowała jejmość.

— Panie Bolesławie — pyta urocza Zosia — co znaczą te beczki?

<sup>7</sup>żokiejka — dziś: dżokejka, rodzaj sztywnej czapki, zwykle używanej do jazdy konnej. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>ogon — tu: tren, ciągnąca się po ziemi część sukni. [przypis edytorski]

— To do polewania ulic...

— Ach, prawda! też tu wyraźnie błoto w alejach... kurz i błoto! Oto mi sad! ... u nas na okólniku<sup>9</sup> porządniej...

— A gdzie tu warzywa sadzą? — przerywa pani.

— Tu nie sadzą warzyw — odpowiadam.

— Nie sadzą?!... A drzeważ fruktowe<sup>10</sup> są?...  
— I tych nie ma...

— Nie ma!... Więc od czegoż wy ten sad trzymacie?

— Od... to jest... dla świeżego powietrza...

— Piękne mi świeże powietrze, jak pragnę szczęścia! ... Wy tu zmarniejecie z takim świeżym powietrzem... Ach, jakiż fetor<sup>11</sup>! ... cóż to znaczy? ...

— O, to nic, proszę pani!... Idziemy w tej chwili aleją, przytykającą do ulicy Królewskiej, na której rynsztoki<sup>12</sup> trochę pachną...

— Aaa... ooo!...

Otóż i mleczarnia. Towarzystwo moje z uwagą patrzy na delektujących się krowimi produktami Warszawiaków. Wołam *pannę*.

— Co państwo każą? ...

— *Hładyszkę* zsiadłego mleka i sitnego chleba — odpowiada jejmość.

*Panna* wytrzeszcza oczy.

— Mamo — szepcze Zosia — jakoś to mleko nieładne... U nas czeladź<sup>13</sup> takiego by nie jadła, dajmy spokój! ...

— Fiu!... gwizdże Władzio. — Albo to mleko zsiadłe? To maślanka!... U nas w K. zsiadłe mleko krajać by można...

*Panna* ulatnia się, poznawszy o co chodzi.

(Uważam, że pierwotny zachwyty szanownej mamy naszej na widok ogrodu zmniejszył się o 30 procent).

— Panie Bolesławie — mówi do mnie — a dzieciż tu daleko? Chodźmy do tych niebożatek.

Około Żelaznej Bramy przecinamy po raz drugi aleję główną i wchodzimy na plac, zavalony gromadą żyjących ciał ludzkich. Dzieci i ich niańki, rozmieszczone jak śledzie w beczce, siedzą, leżą, śpią, płaczą, szują, rozmawiają, słowem, robią wszystko, co komu na myśl przyjdzie.

— O rany Chrystusa!... — woła mama. — Jak to, więc na tym placu bez trawy, w tym kurzu, w tej ciasnocie, bawią się dzieci tutejsze? O Boże! Boże... toż u nas na wsi cielętom lepiej!...; Patrząc, panie Bolesławie, jakie to małe dzieckowina! ... pewno mu się jeszcze ząbki nie wyrzynają, a ono już tu? ... Nianiu! ... nianiu! ... — zwraca się do jednej z piastunek — a czego to dziecko tak płacze?...

— A bo, proszę pani, już mleka nie ma w *butelce*, więc nie ma *czo szszać*...

— To ono butelkę ssie! a gdzie matka?

— Pani ż panem *szą* w ogrodzie, ale pani *szama* nie karmi...

Poważna moja przyjaciółka machnęła gniewnie ręką, i poszliśmy dalej.

— Czy to bożnica<sup>14</sup>, proszę pana? — pyta mnie uśmiechnięty Władzio, wskazując ogromny, elegancki budynek w guście szwajcarsko-chińskim.

— To letni teatr, panie...

— Aaa!... proszę pana, a tenże budynek murowany na górze, co to jakby maszynka do gotowania kawy?

— To rezerwoar wodny...

— Aaa!... A tenże parów, co to takiego?

— Sadržawka...

— Sadržawka bez wody... chi! ... chi!... A tenże chłopiec z gęsią?

— Fontanna...

<sup>9</sup>okólnik — ogrodzona część pastwiska. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>fruktowy — owocowy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>fetor — smród. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>rynsztok — otwarty kanał ściekowy biegnący wzdłuż ulicy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>czeladź — służba. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>bożnica — synagoga, świątynia żydowska. [przypis edytorski]

— Aaa!... To proszę pana, woda idzie przez chłopca, czy przez gęś? ...

— Przez gęś...

— Aaa! A toż korytko nad sadzawką?

— Strumyk dla ptaków...

— Aaa!... to ptaki w Warszawie znaczą błoto jedzą?

— Tylko piją...

— Aaa!...

W tej chwili napatacza się znowu jakiś chłopczyk z gołymi nogami, po szkocku.

— Która godzina, proszę pana?

— Kwadrans na czwartą...

— Mamo! ... zajdźmyż na te lody... — prosi panna Zofia.

— A zajdźmy!... Wiedźże nas, panie Bolesławie — odpowiada bardzo zachmurzona mama.

Jeszcze raz przecinamy aleję główną; pani zatyka nos, panna rumieni się, kawaler otwiera gębę, Franio czepia się za rękę matki, a Bibi płacze się między nogami swego kornaka<sup>15</sup>, który woła:

— Panie! panie!

Kilku panów ogląda się, ja jestem różowy.

— Panie! — powtarza posiadacz aksamitnej żokiejki — to tu w Warszawie i drzewa blachą latają? Na co to tak?

Ponieważ nie wiem: „na co to tak?” — więc milczę i uważam tylko, że białe zęby mego interlokutora<sup>16</sup> na osobach zajmujących ławki, robią nie mniejszy efekt od jego ciemnozielonych rękawiczek i szpagatu, na którym ciągnie Bibi.

— Proszę pana... co to za figura? ... — pyta nieśmiało panna Zofia, wskazując posąg, zarówno cierpiący na brak podpisu, jak i na niedostatek garderoby.

— Zosiu! ... nie patrz tam — upomina ją mama — bo to nieprzyzwoicie! ...

Zosia płonie<sup>17</sup>, Bibi szczeka, a cała nasza karawana zbliża się do cukierni, do której wchodzimy nareszcie i zajmujemy stolik pod werandą.

— Co państwo każą? ... — pyta markier<sup>18</sup>, wyglądający z pozoru na człowieka, który lepiej się zna ze słodyczami, niż z mydłem.

— Ja proszę o lody — dysponuje mama.

— I ja o lody — powtarza córka.

— To i ja o lody — konkluduje Władzio.

— A ty, panie Bolesławie? ...

— Proszę o czarną kawę...

— A dla Frania ciasteczko — decyduje jejmość.

Markier znika i po pewnym czasie zjawia się z tacą pełną żądanych efektów.

— Ach! jakie małe porcje lodów! ... — dziwi się mama.

— Może państwo będą łaskawe zapłacić *zara*.

— Cóż to znaczy? ... alboż my uciekamy? ...

— Ja tego nie mówię, ale *niektóre* goście są *takie*, że wychodzą i nie płacą — wyjaśnia egzekutor.

Czuję, że jestem tak pąsowy, jak panna Zofia i jej mama, która, nie ociągając się dłużej, wydobywa woreczek i pyta:

— Co się należy?

— Trzy porcje lodów — rachuje markier — 45 kopiejek...

— Takie małe porcje po 15 kopiejek?

— Ja nic na to nie poradzę! ... Filiżanka kawy 7 i pół kopiejek.

— Na Nowym Świecie 5 kopiejek — przerywa dama.

— Ja nic na to nie poradzę! ... Ciasteczko 5 kopiejek.

— Gdzie indziej lepsze kosztuje 3...

— Razem 57 i pół kopiejek — sumuje markier.

<sup>15</sup>kornak — dozorca słoni, a. osoba powoząca słoniem. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>interlokutor (z łac.) — rozmówca. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>płonąć — czerwienić się. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>markier — tu: osoba przyjmująca rachunki. [przypis edytorski]

Przez ten czas wycelowano na nas wszystkie szkiełka; w powietrzu poczynają krzyżować się uwagi.

— Wełna!... mówi jeden.

— Facet w żokiejce jest pyszny... wygląda na forysia<sup>19</sup>...

— *Gąska*<sup>20</sup> niczego, choć anachronicznie ubrana.

Słuchając tych uwag, towarzystwo moje kręci się; ja jestem fioletowy, i nawet Franio ma minę przestraszonego. Tylko ostrzyżona Bibi zachowuje się obojętnie i robi przez ten czas znajomość z czekoladowym angielskim charcikiem. Wreszcie ruszamy.

— *Gąska* kapitalna! ... — żegnają nas eleganci.

— Wyjdźmy już, mamó, z ogrodu — mówi ze łzami w oczach panna Zofia.

— Aaa!... upadam do nóg za ten wasz Ogród Saski — irytuje się mama — już mnie tu drugi raz nie zobaczycie... Wolę ja swój sad w K....

— Moje nowe rękawiczki za 75 kopiejek pękły! ... — wzdycha Władzio, i zapewne skutkiem zmartwienia, przy samym wyjściu przydeptuje i obrywa łokciowy ogon jakiejś damie.

—... fu... otom się skąpał!... — myślę i postanawiam odtąd nigdy nie akompaniować na spacerach antypodom<sup>21</sup>, którym nie podoba się Ogród Saski.

\*

Nam jednak, bądź rodowitym, bądź naturalizowanym Warszawiakom, wystarcza ta klatka bez dachu. Mamy w niej, co prawda, zakurzone i „połatane”, lecz zawsze dość zielone drzewa; mamy klomby, wprawdzie niekoniecznie czyste, ale wygodne i do naszych wyobrażeń o porządku nieźle zastosowane; nie brak też miejscami kwiatów różnobarwnych i trawników płowych<sup>22</sup>, a przypominających niegoloną dziadowską brodę.

A ile tam alei kasztanami wysadzanych, ile gracowanych ulic, jaki obszar! ... Wprawdzie na szerokość ogród nasz nie ma więcej, niż około 360 pensjonarskich kroków, lecz za to długi jest na 600 przeszło kroków tragicznych, takich, jakimi prowincjonalni artyści posługują się dla wywołania najwyższego efektu.

Oprócz budynków, nie mających wielkiego związku z galeriami sztuk pięknych, prócz cukierni i młeczarni, posiadamy w tym lubym zakątku namiot owocowy, pyszną altankę wód gazowych i resztki loteryjnych szałasów, wymowne świadectwo naszych filantropijnych uczuć. Szkoda jednak, żeśmy się już pozbyli strzelnicy i jeszcze nie doczekali choćby skromnej bawaryjki<sup>23</sup>; szkoda również, że nad planem głównego wodotrysku pracowała jakaś gospodarska fantazja. Jak na największą ozdobę takiego ogrodu, nie dość było ustawić na ziemi dużą balie, w niej ogromną miszkę, w tej kolosalną podstawkę do nafcianej<sup>24</sup> lampy, a na wierzchu imponujących rozmiarów spodek. Jeżeli Warszawę, w braku popiołów i lawy, piasek kiedy zasypie, wątpimy, aby odległa potomność zadawała sobie dużo trudu nad odgrzebywaniem tego dzieła najnowszej sztuki.

\*

Około 10-ej z rana, gdy ucichnie już muzyka w zakładzie wód mineralnych i opadnie kurz, wzniecony bajecznie długimi miotłami stróżów, wówczas do ogrodu schodzą się emeryci, niańki i bony<sup>25</sup> z dziećmi, tudzież kilkunastu próżniaków, lubiących czytać książki na otwartym powietrzu. Tajemna nić sympatii pociąga dzieci ku emerytom, próżniaków ku romansowym bonom, a wtedy dziwne widowisko przedstawia się oczom obserwatora.

Pocziwe sześcionożne ławki z gwałtownie w tył wygiętymi poręczami przybierają wówczas wygląd huśtawek, w których na jednym końcu siedzi bona z haftem lub z książką, na drugim próżniak z książką lub papierosem. Na pozór między osobami tymi nie

Flirt

<sup>19</sup>*forys* (daw.) — pomocnik stangreta. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*gąska* — tu: młoda dziewczyna, zwł. ze wsi. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*antypodzi* — legendarni mieszkańcy drugiej strony ziemi. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*płowy* — żółto-szary. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*bawaryjka* (daw.) — piwiarnia. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*nafciany* — dziś: naftowy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*bona* — opiekunka nad małymi dziećmi. [przypis edytorski]

ma najmniejszego związku, oboje bowiem siedzą do siebie tyłem. Przechodzący jednak w znacznej odległości od tych par dziwnych, a obdarzeni ostrym słuchem, łatwo przekonąć się mogą, że długość ławki nie przeszkadza rozmowie, i że figlarny Amor umie kaleczyć serca nawet plecami do siebie odwrócone.

Im wyżej na sklepieniu niebieskim podnosi się słońce, tym bardziej zbliżają się do siebie nasi samotnicy, a gdy w południe kompas zgromadza ludzi poważnych dla uregulowania zegarków, wówczas tkliwą parę oddziela już co najwyżej pół ławki. Wtedy zwykle do rozmarzonych dwójek zbiega się krzykliwa tłuszcza dzieci, wołając: „jeść!” — bony odchodzą, a szczęśliwi zdobywcy ich serc, schyleni na poręczach ławek, zapadają w drzemkę, która niekiedy usiłuje zastąpić im obiad.

\*

Południe minęło już od kilku godzin; w ogrodzie kipi śmietanka towarzystwa. Uśmiechnięte, promieniejące, szeleszczące, spowite we wszystkie barwy nieba i ziemi, królowe stworzenia w obłokach tkanin spłynęły do alei głównej. Wobec szczebiotu ich ptaki milkną i przestaje dyszeć wiatr, zablakany między liśćmi.

Burzliwa fala chodzących, wciśnięta między żywe brzegi widzów, dzieli się na prądy, nieustannie zmieniające kierunek i miejsce. W tej chwili wszystkie płyną w jedną stronę, w następnej dwa w prawo, trzy w lewo, dalej jeden w prawo i jeden w lewo. Czasami na mgnienie oka fale nikną, aby natychmiast powrócić, zetrzeć się i znowu zmącić. Olśniony błyskawicami spojrzeń, odurzony tysiącem oddechów, ogłuszony kaskadą słów, wstrząsany huraganem dziwnych uczuć, cofasz się w tył i dostrzegasz... gromadę gadatliwych dwunogów, nie wiadomo dlaczego wałęsających się wśród gęstych tumanów kurzu...

O, życie! czymże ty jesteś bez złudzeń? ...

\*

Już noc zapadła; w Teatrze Letnim grają operę, a tłum bezpłatnych wielbicieli piękna, zakłętego w dźwięki, snuje się około fatalnych sztachetek. Jakiś namiętny meloman, wbity między dwa drzewa, surowe wejście ciska na mnie, który szelestem nóg poważylem się przypomnieć mu cały niesmak miejsc gratisowych. Nie przeszkadzam! nie przeszkadzam!... lecz i nie zazdroszczę. Z tego punktu słuchany tenor przypomina nawoływania rozwijających węgle, sopran spazmy, a bas pastwisko.

Lecz otóż znowu aleja główna; przechodniów niewielu, a ławki prawie puste. Siadam na jednej, aby podsłuchać szeptów.

— Nie byłaś wczoraj...

— Nie mogłam...

— Unikasz mnie, gniewasz się! ...

— Nie...

— Pozwól mi rękę... Wszak mnie — kochasz?... Nie kochasz!...

— No, powiedz czy kochasz? ...

— Nie... wiem...

— O kochasz!...

— Puść mi pan rękę...

— Nie puszczę...

— Puść!... Pomyśl tylko, co z tego będzie? ...

*Głos z daleka:* Mamo!... mamo... gdzie mama?...

*Głos bliżej:* Ja tu, Maniu... chodź, chodź!...

Idźmy stąd; zostańcie w pokoju, szczęśliwi! Dusze wasze zbyt zajęte są w tej chwili, abyście mogli pojąć złowrogą przepowiednię, która padła na was z ust dziecka.

Jak cicho! ... tylko młody ptak skrzeczy w gęstwinie... Dlaczegoż i ja nie miałbym dzielić spojrzeń moich między gwiazdy jasne i kochające oczy?

Widzę jakieś światła. Tu błyszczą lampy altanki z wodą sodową, tam zapalka... Co mnie wreszcie obchodzą zapalki, woda sodowa i wszystkie wynalazki, kiedy dokoła noc, a nad głową niebo i drzewa szumiące?

Niby znam te miejsca, a nie znam? Zdaje się, że zablądziłem, i robi mi to przyjemność!

Flirt



Obecnie doczekałem się takiej chwili, w której zachwyca nas osławione kwilenie ptaków i rozrzewnia zdyskredytowany księżyc. Jaki nawał uczuć!... zdaje się, że wyśpiewałbym całą duszę moją, która przecież jest inna, aniżeli u innych ludzi, ale... jeść już chcę, a przy tym obawiam się, aby miejsca nie zabrakło w „Kurierze”.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-ogrod-saski>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Nowele Warszawskie*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-0745-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).